

Rok końca świata, czyli co zapamiętamy z 2012 r.

1 stycznia 2013

Żegnamy dzisiaj rok 2012. Zanim zakopimy go w pomroku dziejów, warto zapytać, co z ostatnich dwunastu miesięcy przejdzie do historii. Na szczęście będzie miało co przechodzić, bo choć Majowie zapowiadali koniec świata, karuzela kręci się dalej.

Tylko jedno wydarzenie miało zdominować podsumowanie tego roku: koniec świata zapowiadany na 21 grudnia. I tym razem nic z tego. Miało być wielkie bum, było wielkie nic, choć rok 2012 zapowiadał się złowrogo. Końców świata było więcej niż ten jeden przepowiadany przez tajemniczych Majów. Polacy przewidywali, że koniec świata nastąpi już w czerwcu, kiedy cała Europa zjedzie na Mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Zamiast stadionów zastać ich miały pola malowane zbożem rozmaitem, posrebrzane pszenicą, pozłacane żytem. Za poduszkę robić miał świerzop, a kołderkę gryka jak śnieg biała. Przezorni kibice z Europy Zachodniej zakupili już kombinezony do przeciskania się przez mazowieckie błota i kożuchy z dodatkową opcją ochrony przed atakiem niedźwiedzia polarnego. Rząd Donalda Tuska zaczął zaś szybkie korepetycje z filmów Hitchcocka, aby wiedzieć, jak najpierw wprowadzić ludzi w panikę, dobrze wiedząc, że i tak się wszystko dobrze skończy.

WYŻEJ, MOCNIEJ... I NA GLEBĘ

Bo i tu koniec świata zawiódł. Stadiony stały, spać było gdzie, a i stachanowcy budujący autostrady i wyrabiając pod czujnym okiem ministra Nowaka 700% normy, zdążyli na czas. Oczywiście, w ramach walki z warszawocentryzmem, wszystkie siły narodu rzucono na odcinek walki o autostradę ze Strykowa do Warszawy. Grunt, że się udało. Wszystko jednak przypominało obraz Bruegela – niby świat biegł swoim rytmem, niby piłkarze

kopali, Cristiano Ronaldo ronił łzy jak Bóg przykazał, Hiszpanie wygrywali, Polacy pobili się z Rosjanami, Irlandczycy pili jak trzeba, TVN24 relacjonował co polscy piłkarze jedzą na śniadanie, a jednak koniec świata odbywał się w małym zakamarku tego sielskiego obrazu, niedostrzegalnym dla mniej wprawnego oka.

Radość z wielkiego święta sportu nie udzielała się podwykonawcom narodowego sukcesu budowy dróg wszelakich, którzy żyli w coraz większej świadomości, że ich zaangażowanie było bardziej woluntarnym wyścigiem przodowników pracy, niż sposobem na zarabianie pieniędzy. O ile jednak w „Ziemi Obiecanej” bankrutującą fabrykę można było spalić i wyłudzić sowite odszkodowanie, o tyle tu autostrady spalić było nie sposób. Można było jednak zalać Stadion Narodowy, co zresztą – z udziałem niebios – stało się, ale już kilka miesięcy po Euro. Jak się bowiem okazało, nowoczesność tak przytłoczyła potomków Chamów i Sarmatów, że zasłaniali dach nad Narodowym kiedy świeciło słońce, a otwierali kiedy lał deszcz. I tak Stadion raz zmieniał się w saunę, aby później zamienić się w basen. Największy ubaw mieli z tego Anglicy, którzy w drwiącym szale zapomnieli, że w obsłudze dachów nie ustępują nam nawet na jotę, czego dowód dali w czasie tenisowego turnieju na Wimbledonie.

A propos tenisa, to niespodziewanie stał się on sportem narodowym Polaków. W finale Wimbledonu zagrała Agnieszka Radwańska, a w paryskim turnieju ATP o zwycięstwo walczył Jerzy Janowicz. Tenisiści odnieśli też wielkie sukcesy na Igrzyskach Olimpijskich w Londynie. Udało im się odbić piłkę rakietą, trafić w siatkę, ponieść flagę i w radosnych humorach wrócić do domu śpiewając „nic się nie stało”. O dziwo zagraniczni obserwatorzy nie uważają jeszcze tej pieśni za polski hymn narodowy, choć w mijającym roku słyszeli ją na nader często. „Nic się nie stało” śpiewano piłkarzom, którzy choć wylosowali najłatwiejszą grupę z możliwych, pożegnali się z Euro pod naporem braci Pepików. „Nic się nie stało”

usłyszeli też siatkarze, którzy mieli co prawda wyjechać ze złotym medalem za sam fakt pojechania na Igrzyska, ale nagle okazało się, że ktoś kazał im grać. Wspomnieniem pozostało tylko to, że miesiąc wcześniej wygrali Ligę Światową. „Nic się nie stało” śpiewano także całej chmarze olimpijczyków, którzy choć – jak zapewniały media – rywalizować mieli z Chinami i USA w klasyfikacji medalowej, z Londynu wywieźli tylko 10 medali. Jak zwyciężać mamy przykład dali nam Adrian Zieliński (sztangista) i Tomasz Majewski (kulomiot). Urzekł mnie szczególnie ten drugi i to nie tylko ze względu na podobne gabaryty. Ucieleśnił on abstrakcyjne pojęcie konkretności. Przyszedł, rzucił, zdobył medal... bo o czym tutaj rozmawiać. Jego zachowanie było wzorem dla paraolimpijczyków, którzy zawstydzili Korwiną-Mikke do tego stopnia, że do cna postradał zmysły.

W cieniu sukcesów i porażek polskiego sportu, społeczeństwo zdekoncentrowało Franciszka Smudę – selekcjonera reprezentacji w piłce nożnej. Jak wynikało z wpisów na forach, był to najgorszy trener wszechczasów, idiota, ćwok, Dyżma i nieudacznik. W duchu zadałem sobie pytanie – kto więc go zatrudnił!? Naród tego chciał Panie, Naród – odpowiedziało historyczne sumienie. Zakończyło się także świetlane władanie Grzegorza Łaty w Polskim Związku Piłki Nożnej i nastąpiła era Zbigniewa Bońka. Największą nowością tej zmiany jest to, że nowy prezes w ogóle nie umie mówić po polsku, a to już znaczący sukces. Zanim Polacy zaczną wieszać na nowym prezesie psy i przeklejać swoje posty z komentarzami o Franciszku Smudzie, chce wyraźnie oświadczyć – pamiętajcie, sami tego chcieliście!

CO TAM PANIE W POLITYCE?

Nie samym sportem świat jednak żył. Na przykład słuchacze Radia Maryja żyli... no właśnie sami nie wiedzieli dokładnie czym. Chodziło w każdym razie o multipleks, multikleks, albo inny mulpipleks. Brak wiedzy co się kryje pod tą nazwą nie przeszkodził w organizacji marszów w obronie Telewizji Trwam. Relacji z manifestacji można zaś było wysłuchać na falach

radia, które – w ramach represji – słyszalne jest w środku puszczy, na dnie jeziora Hańcza i na szczycie Rysów. Walczący o Telewizję Trwam walczyli również o odkrycie prawdy o katastrofie smoleńskiej. To zresztą sprawa o tyle ciekawa, że oni w zasadzie tę prawdę już znają, ale nadal chcą ją odkrywać. Nie wchodząc jednak w zakamarki metodologii nauk smoleńskich, spieszę z raportowaniem tegorocznych wyników tych dociekań. Otóż wynika z nich tyle, że Rosjanom i Donaldowi Tuskowi, po wypłaceniu milionowych łapówek za trzymanie języka za zębami ludziom, którzy wiedzieli o planowanym zamachu, zabrakło pieniędzy i samolot wysadzili metodą rodem z XIX wieku. Teorii nie oceniam, ale w końcu jeśli redaktor Gmyz coś napisał to to musi być prawda.

O ile PiS nadal żyje w swoim świecie alternatywnym, to Platforma Obywatelska kontynuuje niekończącą się opowieść o tytule, który niegdyś Stefan Kisielewski nadał rządowi Władysława Gomułki. Zainteresowanych odsyłam do Wikipedii. Donald Tusk w mijającym roku był zazwyczaj zaskoczony, nie spodziewał się, nie wiedział i bardzo ubolewał. Uczynił jednak coś co udało się dotychczas tylko Romanowi Giertychowi – wyciągnął młodzież na ulice. Ta co prawda daje sobie wciskać umowy śmieciowe, coraz gorszą edukację, brak pracy, podwyższony wiek emerytalny itp., ale groźnie brzmiący dokument ACTA, który mógł zagrozić komputerowym katalogom z muzyką, to było już za wiele. Donald Tusk nie ukrywał zdziwienia. W całym tym galimatiasie tylko ja się nie dziwie, bo trudno, aby ktoś poznał Internet na podstawie rodzinnego bloga modowego i Twittera, który stał się w mijającym roku oficjalnym rzecznikiem prasowym rządu.

Coraz lepiej dzieje się również na lewicy. W ramach odmładzania kadr i przywracania lewicowości, przewodniczącym SLD został młody i ambitny działacz terenowy Leszek Miller. Zbieżność imienia i nazwiska z premierem, który był zwolennikiem podatku liniowego, dostawał nagrody od towarzystw biznesowych i odchodził w niesławie spowodowanej licznymi

aferami, czysto przypadkowa. Dobrze rozwija się także teatr Ruch Palikota, który wystawiał już nie tylko doskonałe tragifarsy, ale także wzbogacił swój skład o nowego aktora – Marka Siwca, który w tym roku wystawił się emocjonującą relacją ze ślubu Aleksandry Kwaśniewskiej z Kubą Badachem.

Prawdziwym szokiem dla sceny politycznej były natomiast wieści z PSL. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że partia ta działa na zasadzie koneksji rodzinnych, powiązań rodowych i solidarności plemiennej. Dopełnieniem terapii szokowej było obalenie prezesa partii Waldemara Pawlaka i wybór Janusza Piechocińskiego, który sam był tym wszystkim mocno zaskoczony.

ALE WKOŁO JEST WESOŁO!

Atmosfera końca świata udzieliła się także na arenie międzynarodowej. Grecy obrażeni byli na cały świat, że nie powiedział im, że nieodpowiedzialną polityką gospodarczą doprowadzą do kryzysu, Francuzi woleli prezydenta bez żony niż z żoną, a Anglicy dowiedzieli się, że król... przepraszam... księżę może być nagi. Księżna zresztą też. Nie przeszkadzało to im świętować jubileuszu królowej Elżbiety i pohukiwać groźnie na arenie europejskiej. Unia Europejska miała zaś twarz przewodniczącego Rady Europejskiej Hermana Van Rompuya – była bezustannie zdziwiona i zaskoczona. Miała zresztą czym, bo dostała Pokojową Nagrodę Nobla, choć niewielu wie w zasadzie za co.

W 2012 roku zbuntowana Afryka starała się przywracać normalność. W Libii powstańcy obalili Kaddafiego, jego samego przyprawiając o śmierć. W Egipcie, w ramach demokratyzacji, wybrano prezydenta, który demokrację rozumie w swój osobliwy sposób, a w Syrii walki nadal trwają przynosząc coraz większe ofiary. Tymczasem Chiny zmieniły swoich przywódców (imion wymieniać nie ma sensu, bo i tak nie różnią się niczym od poprzednich), a młody wódz Korei Północnej zdążył udowodnić, że co prawda jego poddani mogą jeść trawę, ale on bombę atomową i tak zbuduje. Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego

groźby, bo w Stanach Zjednoczonych wybierano prezydenta. Po raz kolejny został nim Barack Obama, który – jak mawiają złośliwi – ufundował sobie kolejne lata nic nie robienia. Amerykańskie społeczeństwo działało jednak według lekarskiej zasady „przede wszystkim nie szkodzić”, a tym mógł się zakończyć wybór jego kontrkandydata.

Nie polityka, nie sport, ani nawet kultura wstrząsnęła polskimi mediami. Cały rok żyliśmy sprawą Madzi z Sosnowca. Choć cała historia nie jest ani zabawna, ani skłania do żartów, to zachowanie dziennikarzy zamieniło ją w farsę, którą odarła ją z powagi. I tak rok zaczął się od płaczącej matki szukającej dziecka, a zakończył tą samą matką w bikini na koniu. Końca świata może nie ma, ale na wymioty zbiera się automatycznie. Obok tego media zajmowały się menu polskich piłkarzy (jedzą śniadanie!! jedzą obiad – huczał redaktor TVN24), zbudowaną w 90% ze sztucznego tworzywa Natalią Siwiec i kreowaniem gwiazd, które gwiazdami nie są, ale przecież można je tak nazwać. Dobrze też miał się świat kultury. Miał zresztą powody, bo polskie kino zaoferowało nam genialne produkty. Wśród nich film „Jesteś bogiem” o hiphopowym zespole Paktofonika i ich liderze Magiku. Powstał on z dwóch powodów – Krytyka Polityczna, w ramach walki z systemem, chciała na premierę zaprosić Dodę i innych celebrytów, a Fokus i Rahim (byli członkowie Paktofoniki) chcieli się odciąć od jej dziedzictwa.

Czy historia zapamięta z tego cokolwiek pokażą kolejne lata. Ja wiem jedno: dozorca Popiołek z „Domu”, widząc te wszystkie wydarzenia, powiedziałby jedno: KONIEC ŚWIATA!!!

Autor: Sebastian Adamkiewicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)